

MIŁOŚĆ RATUJĄCA MYŚLENIE

KSIĘGA PAMIĄTKOWA
Z OKAZJI JUBILEUSZU URODZIN
I PRACY NAUKOWEJ NA UNIWERSYTECIE KARDYNAŁA
STEFANA WYSZYŃSKIEGO W WARSZAWIE
KSIĘDZA PROFESORA JANA SOCHONIA

POD REDAKCJĄ NAUKOWĄ
AGNIESZKI GRALEWICZ
BPA JACKA GRZYBOWSKIEGO
I KS. GRZEGORZA KURPA

ks. Jan Sochoń

Notatki z dziennika

Co nie jest biografią – nie jest w ogóle.

Stanisław Brzozowski

Dzieciństwo przeżyłem w Wasilkowie, w domu ze sporym ogrodem, bawiąc się co jakiś czas pośród drzew, wiśni i czereśni, oraz grządek truskawek. Zachęcany przez sąsiadki stawiałem na pieńku drzewa i zawodziłem ludowe przyśpiewki w rodzaju *Głęboka studzienka...* których wówczas uczyła mnie Franciszka, moja najukochańsza mama. Później, gdy byłem o niebo starszy, podczas pracy w polu czy na łące często odmawialiśmy różaniec, przetykając go pieśniami, przede wszystkim pasyjnymi. Dlatego też odkryłem we własnej wrażliwości coś rzecznego, wywołującego tę niecodzienną aurę duchową. Miejsce mego urodzenia zachowało jeszcze do dzisiaj ów synkretyzm dźwiękowy: muzyczność kultury prawosławnej, katolickiej i – zaledwie odczuwalne – dźwięki kultury islamskiej. Nieco anegdotycznie mówię, że już w łonie Franciszki podczytywałem rzeczywistość. A gdy tylko ujrzałem jaśniejsze światło życia, książka stała się moją „najmilszą zabawką”.

Mieliśmy w Sochoniach wielki ogród, podobny do tego, który sfilmowała onegdaj Agnieszka Holland. W wiosenno-letnie dni wędrowałem tam z mamą, aby doglądać warzywno-owocowych plonów, i właśnie podczas drogi wsłuchiwałem się w snute przez nią opowieści. Wówczas po raz pierwszy zapadły w moją wrażliwość losy sierotki Marysi, wuja Toma, konika garbuska, żywego ludzika z drewna oraz ballady Mickiewicza, szczególnie *Powrót taty* i *Pani Twardowska*. I co niezwykle: w swe opowieści Franciszka wplatała synkopowany, jednostajny rytm różańcowych modlitw. Toteż pomiędzy rodzinną pobożnością a literaturą rozwijało się moje egzystencjalne doświadczenie.

Z owych dziecięcych wydarzeń dzisiaj niewiele sobie przypominam, ale niektóre sceny i matczyne strofy utkwiły w moim sercu na zawsze.

* * *

Pociąg relacji Białystok–Warszawa. Spotykam Tadeusza Konwickiego. Podczas długiej rozmowy usłyszałem pytanie: Janku, dlaczego w twoich utworach tak niewiele odniesień do dzieciństwa, czyżbyś nie miał sentymentu do mitologii rodzinnej ziemi? U mnie, jak wiesz, odgrywa ona dość zasadniczą rolę. Cóż, pomyślałem wówczas: po pierwsze, jestem pisarzem, by tak rzec, dopiero się rozwijającym, a po drugie, tematyka tego rodzaju rzeczywiście nie wybija się w mojej literackiej świadomości na plan pierwszy. Nie oznacza to jednak, że jej w ogóle nie ma. Gdzieś pod skórą mojego życiowego doświadczenia tkwi przecież, i to bardzo mocno, zakorzenienie w barwach wasilkowskiego krajobrazu, smakach domowej kuchni i ogrodu, w delikatnym i pozbawionym goryczy uśmiech mamy Franciszki, wreszcie duchowości parafialnej plebanii, gdzie nawiązałem przyjaźń z księdzem Piotrem Bożykiem.

Nie mogę też wyzbyć się tego wszystkiego, co kształtowało moje przyszłe lata, a więc studiów uniwersyteckich w Białymstoku, pierwszych nieporadnych prób literackich i nadziei, że uda mi się przekroczyć krąg układów środowiskowych, uzależnionych wówczas od komunistycznych ośrodków miejscowej władzy. Tkwiła we mnie dziwna tęsknota za czymś, czego nie umiałem jeszcze nazwać, a co tliło się jako wezwanie do zmiany dotychczasowego sposobu życia. Barwy nieba nad podwórzem w Wasilkowie, cudowna pokora mamy Franciszki i modlitwa księdza Piotra doprowadziły mnie do seminaryjnej furty na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

Nadto, było coś przedziwnego w atmosferze Białegostoku, co miało, tak nazwę, sakralny wymiar. Zewnętrzne okoliczności nie sprzyjały myśleniu religijnemu, jednak ludzie, z którymi ówczesnie nawiązywałem serdeczne znaki porozumienia, nie stanowili przeszkody w podjęciu zasadniczej decyzji. Raczej wspierali w trudzie poszukiwania i rozpoznawania śladów kapłańskiego wybrania. Brzmi to nieco sentymentalnie i „nastrojowo”, w Heideggerowskim sensie słowa, jednak oddaje autentyczny stan rzeczy. Przyznaję: wybijanie się do egzystencjalnej niepodległości nie przychodziło łatwo. Nauka w liceum wymagała talentów i wysiłków, których często brakowało. Podstępny wiek dojrzewania ograniczały pole widzenia. Z trudem wydobywałem się z ich nieporadności, by wsłuchać się w nadchodzący głos: tak, to jesteś ty, tylko musisz dojrzeć swój niepowtarzalny ton istnienia. Nie bój się, zaufaj Duchowi Świętemu. Cieszyłem się więc, kiedy podczas studiów my – studenci – próbowaliśmy

przełamywać stereotypy obyczajowe, polityczne i literackie; dawaliśmy się – pobudzeni intelektualnie przez profesorów śp. Andrzeja Gorenia i jego żonę śp. Annę, Andrzeja Makowieckiego, Elżbietę Feliksiak – ponosić marzeniom o nowej jakości białostockiej kultury. Co pozostało z tej ufności? Zapewne niewiele. Ale do dzisiaj zachowałem w sobie tamten żar. Dzięki niemu nie tracę pogody ducha, nie ustaję w dziękczynieniu.

* * *

Aby zachować resztki domowego ciepła, delikatność i dobroć mamy Franciszki, wracam w rodzinne strony. W centrum mojej pamięci rozkwita cmentarz parafialny, a w jego czulej przestrzeni betonowe anioły zaprojektowane przez księdza Wacława Rabczyńskiego. Najśmielej zaprzyjaźniłem się z aniołem nazwanym przeze mnie ANIOŁEM TROSKI. Kiedy na niego patrzę, jakbym słyszał: nie bój się, chroni cię Bóg i Jego Matka, tak jak ja próbuję osłaniać ciebie. Wyczytuję te słowa z barwy anielskich oczu, nieznacznie przesłoniętych ręką dotykającą czoła, z nieodmkniętego uśmiechu, przenikniętego gorzką smugą, z grubych pofałdowań kamiennej sukni. Z nostalgią wsłuchuję się w dobiegający z bliska szept: twoje rodowe siedlisko w Wasilkowie niszczy, opuszczone i zanedbane. Nie ma komu ożywić dawnych barw, pasji, archetypicznych emocji. Na szybach zabudowań nie pojawia się szron, woda w szczelinach między belkami nie zamara, nie tworzy widocznych z daleka pęknięć. Wróble i sikorki nie błagają o konieczną pomoc. Franciszka nie kroi boczku na podłużne plastry i nie zawiesza na smukłych gałęziach jabłoni. Stworzenia wirujące w powietrzu nie świętują. Zarasta natomiast ogród, przesłonięty szkaradnymi, nowoczesnymi blokami. Omszały wspomnienia, zgasła tęsknota. Łóżko w matczynej sypialni żyje, ale niebawem i ono umrze, ze zgryzoty, z zimna, pozbawione oddechu, pokryte bezradną pustką. Tylko ty, Figuro Strapionych, pozostałeś. Zawsze idę w twoją apokaliptyczną stronę, a ty jesteś wszędzie, zwłaszcza tam, gdzie miłość jeszcze nie do końca osłabła. Dbasz o bezpieczeństwo w każdej podróży.

Także i z powyższych racji poddajemy odbudowie rodzinny dom. Robotnicy są sprawni, pracują według ustalonego planu. Nie śpieszą się, dokładnie dopasowując deskę do deski, ścianę do ściany. Jest i weranda z donicami kwiatów w tokańskim stylu. Na stare lata chcemy być szczęśliwi, choć niczego nie mamy na stałe, ale ufamy, że nowy dom będzie spajał to, co z trudem się spaja. Czarny kot o imieniu Strzałka śledzi z okna każdy widoczny i niewidoczny ruch, utrzymuje w równowadze niebo i ziemię, przestrzega przed naiwnością, która już nam nie przystoi, która nie goi ran. Ten nowy dom sprzyja nam, wraz z nami nabiera doświadczenia.

* * *

Jakże rozmyślać o źródłach własnego życia duchowego bez przywoływania drgających w głębi serca przeżyć i doświadczeń, najczęściej z trudem dających się wyśłowić? Trzeba też pamiętać o fundamentalnej uwadze św. Augustyna, który w rozmowie z własnym synem Adeodatem (widział on zapewne w swym ojcu mistrza duchowego) powiedział: „to Chrystus poucza nas wewnątrz duszy, a człowiek tylko upomina słowami na zewnątrz”. Ponieważ jednak wiara pojawia się i kształtuje w przestrzeni społecznej, istnienie przewodnika duchowego wydaje się konieczne. O własnych siłach nie moglibyśmy unikać zła, a tym bardziej poszukiwać czegoś, co u świtu europejskiej kultury nazwano szczęściem, czyli najwyższym dobrem, najwyższą rozkoszą, czymś moralnie najpiękniejszym i mającym wymiar boskiego błogosławieństwa. Nic zatem dziwnego, że każdy z nas natrafia w końcu na taką osobę, choćby miał to być ktoś jedynie „wyśniony w marzeniach” albo obecny w dziełach przez siebie pozostawionych. W tej kwestii uważam się za człowieka wyróżnionego. Od najmłodszych lat Bóg postawił przy mnie ks. Piotra Bożyka, duchowego ojca, opiekuna w najtrudniejszych chwilach dorastania, który sprawił, że nie zagubiłem się na drogach życia. Nie potrafiłbym już wyobrazić sobie życia, swej kapłańskiej pracy bez jego rad, modlitwy, łagodnych upomnień.

Biografia ks. Piotra włącza się w krąg tworzony przez kapłanów czasów powojennych, pracujących w ciągłej konfrontacji z władzami uzależnionymi od komunistycznych mocodawców, a także doświadczających blasków i cieni posoborowych reform w Kościele.

Przyszedł na świat 11 września 1923 roku w Wohyniu. Maturę uzyskał w Zabrzu. Podczas drugiej wojny światowej zatrudnił się w kolejnictwie, a po jej zakończeniu podjął działalność nauczycielską na Śląsku. Odkrywając w sobie tęsknotę do stanu kapłańskiego, wstąpił w latach pięćdziesiątych do Archidiecezjalnego Seminarium Duchownego w Białymstoku. Pracował jako prefekt szkolny, wikariusz, wreszcie proboszcz w diecezji białostockiej. Przeżywszy pożar plebani w Choroszczy, ciężką chorobę, przeniósł się do Milanówka, gdzie był rezydentem w parafii Matki Bożej Bolesnej, na terenie archidiecezji warszawskiej. Odnalazł życzliwą atmosferę i mógł wspierać miejscowe duszpasterstwo. Po śmierci swojej siostry Teresy zamieszkał w Łomiankach-Kielpinie, w Domu Księży Emerytów. Pod opieką sióstr albertynek stara się zachować pokój ducha i trwać w Chrystusie.

Przedstawione skrótowo wydarzenia kapłańskiej aktywności ks. Piotra ukrywają wiele dramatycznych wymiarów. Jego zaangażowanie, jak wspomniałem, przypadło na lata partyjnego ucisku i prób dobijania się do polskiej